# DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 6 z r. 1908.

**Mikołaj Rybowski.**

## Zwierzęta w symbolice kościoła katolickiego.

(Ciąg dalszy.)

Wziął owieczkę na ręce i sam zaniósł do klasztoru, a postawiwszy ją na ziemi przeżegnał i polecił jej, aby Boga chwaliła, a w niczem nie naprzykrzała się braciom.

Rzecz nadzwyczajna, a zapisana w kronikach klasztoru Owieczka ta chodziła za braćmi. Gdy oni śpiewali chórem w kościele, to ona przed ołtarzem Matki Boskiej Anielskiej beczała dziwnie miłym głosem. A co większa: Mszy świętej słuchała stojąc jak wryta, a na podniesienie klękała na przednie kolana, co pobudzało patrzących do wielkiego nabożeństwa.

Ponieważ Pan Bóg jest początkiem wszelkiego stworzenia dlatego św. Franciszek tak tkliwą miłość okazywał zwierzętom, które odczuwały jego dobroć, zbliżały się do niego i okazywały mu swe przywiązanie i uległości.

Idąc drogą spostrzegł trzodę owiec pasących się na łące. Powitał je swoim zwyczajem nazywając siostrzyczkami Owieczki przybiegły i patrzały mile na niego. On je pogłaskał a przeżegnawszy kazał im wrócić na pastwisko, co też zaraz uczyniły na podziwienie braci zakonnych i pasterza.

Razu pewnego przyniesiono Świętemu młodego wilczka. Dzikie zwierzątko wyrywało się z rąk niosącego i wyrczało. Skoro go postawiono przed Franciszkiem łasił się jak psina podskakując do piersi. Święty wziął go na ręce i pogłaskał

upomniawszy, aby był nadal ostrożniejszym i nie dał się złowić, a gdy podrośnie, żeby nie czynił ludziom szkody.

Puścił go na wolność, ale wilczątko nie chciało odejść od niego i ciągle mu się łasiło. Kazał więc jednemu z braci odnieść do lasu i tam zostawić.

Św. Franciszek przybywszy do miasta Gubio, dowiedział się, że nadzwyczaj wielki i drapieżny wilk jest plagą okolicy, pożerając bydło a nawet ludzi.

Postrach tych ludzi obudził litość w słudze Bożym. Postanowił pójść do wilka i pomimo nalegań, aby się nie narażał na śmierć, przeżegnał się i wyszedł z miasta z kilku braćmi. W miarę jak się zbliżali do lasu spostrzegł, że bracia drżą ze strachu. Kazał im wrócić do miasta, a sam puścił się drogą, na której zwykle wilk się pojawiał. Z daleka za nim postępowało mnóstwo ludzi przypatrując się, co to będzie.

Wkrótce wybiegł wilk z lasu i puścił się pędem na Franciszka. Gdy zwierz miał się rzucić na niego, przeżegnał go i rzekł: „Pójdź tu bracie wilku! pójdź! a w imię Chrysusa rozkazuję ci, abyś nie wyrządził żadnej krzywdy ani mnie ani tym, co tam są za mną!“

W tej chwili wilk rozjuszony stulił paszczekę i stanął jak wryty. Na rozkaz Świętego zbliżył się do niego i położył mu się u nóg.

Wtedy Święty rzekł do niego: „Bracie wilku, strasznie pustoszysz tę okolicę. Popełniłeś wiele zbrodni, kalecząc i mordując stworzenia Boże bez Jego pozwolenia.

Pożerałeś nietylko bydlęta, ale nawet ludzi stworzonych na obraz i podobieństwo Boga. Zasłużyłeś więc za te zbrodnie na powieszenie, jako nikczemny zbójca. Wszyscy na ciebie narzekają i nienawidzą cię mieszkańcy tej okolicy. Lecz uważaj bracie wilku: Chcę, żebyś się znimi pojednał. Przyrzecz mi, że odtąd nie będziesz robił żadnych szkód, a oni przebaczą ci wszystkie krzywdy, i polować na ciebie nie będą. Rozumiesz?“

Na te słowa wilk chylił głowę i zaczął okazywać oczyma, różnymi ruchami i całą postawą, że zgadza się na wszystko.

(C. d. n.)

Józef Białynia Chołodecki.

# Wspomnienia z lat dziecięcych.

Ryś, żbik, niedźwiedź, wilk tępiony ustawicznie w kraju naszym nie jest dzisiaj tak powszedniem zjawiskiem, jak to ongi bywało. Za moich lat dziecięcych grasowały wiiki po lasach, pastwiskach i siołach, wyrządzając dotkliwe szkody w domowem gospodarstwie. Napatrzyłem ja się nieraz na przeróżne niepożądane występy i sprawki tych żarłocznych bestyj — a tem, co utkwiło w mej pamięci, dzielę się z młodymi czytelnikami. Mieszkałem z rodzicami w Bilczu, obok Medenic. Dom, nasz położony na wzgórzu, w środku sioła otaczały ogrody, małe pastwisko, a po pod bramę wiodła publiczna droga, przez las ku lwowsko-stryjskiej szosie. Las bilecki, kilka tysięcy morgów obszaru, łączył śię z innymi rewirami zwłaszcza w kierunku Beskidu — to też zwierz dziki znajdował obszerne i wygodne terytoryum do spacerów i wycieczek. Przez ten las musieliśmy przejeżdzać, , chcąc dostać się do Stryja lub do Lwowa, gdzie pobierałem nauki szkolne. Koleji nie było jeszcze wówczas na tym szlaku, odbywałem więc podróż bryczką lub sankami. — Raz, pamiętam, jechałem z ojcem ze Lwowa na święta Bożego Narodzenia. Wczesna grudniowa noc zaskoczyła nas w lesie, mróz sciskał silnie, na pogodnem niebie lśniły się gwiazdy, a blask księżyca oświecał nam drogę leśną. Nagle ujrzał ojciec parę wilków, które niby psy w niedalekiej odległości pośpieszały za sankami, wyczekując zda się odpowiedniej chwili do ataku. Ojciec, wytrawny myśliwy, zwykł był jechać ze stzzelbą i w tym dniu nie był więc pozbawionym broni. Zmienił front siedzenia plecyma do koni — położył palec na cynglu i w tej pozycyi oczekiwał przybliżenia się wilków. Konie, nie dostawszy węchu, szły raźnym kłusem, lecz nie uciekały, a ta właśnie sytuacya obudziła zda się zmysł przezorności u wilków, które obawiały się zbliżyć na bliskość strzału do sanek i wystąpić agresywnie. Mnie biło serce młotem, dech zamierał w piersiach i wyczekiwałem gorączkowo chwili wyjazdu z lasu. Nareszcie zabłysło światło w przydrożnej gajówce — a wilki przeskoczywszy rów leśny, ukryły się w gąszczy, Pierwszy to raz wtedy patrzyłem z daleka na świecące wilcze ślepie.

Niebawem jechałem z powrotem do Lwowa, a odwoził mnie w zastępstwie ojca, stary zaufany gumienny. Wyjechaliśmy z brzaskiem dnia zimowego, a w kwandrans później ujrzeli się przy moście rzeki Nieżuehówka, odgraniczającej sioło od lasu. Równocześnie z nami chciało przebyć tym mostem rzekę potężne wilczysko. Spłoszony naszym przyjazdem zwierz odskoczył od mostu i usiłował dostać się po lodzie na drugi brzeg rzeki — lecz, że była lekka odwilż, a na lodzie stała woda, obawiał się powierzyć swoje grzeszne cielsko kruchej podstawie i nie chciał widocznie lekkomyśluie zamaczać w zimnej wodzie łapek, więc biegał nad brzegiem rzeki i szukał dogodnego przejścia.

— Patrzcie się paniczu — zawołał gumienny — jaka to mądra bestyja.

Stanęłiśmy na moście i obserwowali, nie bez interesu, jak wilk przybliżał się do lodu i jedną nogą badał jego wytrzymałość i głębokość nadskórnej wody. Ntezadowolony z wyboru miejsca posunął się kilkadziesiąt kroków dalej i ponowił eksperyment, pobiegł następnie na inne miejsce, wrócił do pierwszego. aż po dobrej chwili, gnany strachem zdecydował slę na krok stanowczy, kilku susami przeskoczył powłokę rzeki i pomknął strzałą w leśną ciemnię.

Wyprawy łowieckie wilków na pastwiska i do środka sioła były na porządku dziennym. Zanadto silnie pobudzało ich apetyt rżenie koni, ryk cieląt, kwik wieprzaków, lub gęganie pierzastego stadka, aby mogły się powstrzymać od próbowania szczęścia po gumnach i oborach.

Powróciwszy z pola późno wieczorem puścił wieśniak swe konie wraz z żrebięciem na pastwisko tuż pod bramę naszego domostwa. Zaledwie ułożył się do snu, usłyszał rozpaczliwe głosy koni, pobiegł więc na miesce i ujrzał ku przerażeniu i rozpaczy jak wilk dogryzał łoszaka, przyszłą ozdobę jego ubogiego gospodarstwa. Odpędził wilka, zawiódł konie do stajni a gdy się wrócił aby zabrać konające łoszę, zastał znów wilka spożywającego z całym spokojem nieprawnie zdobytą pieczeń.

Obok domu naszego było kilka stajen i innych budynków gospodarczych, a w nich kilkadziesiąt sztuk bydła rogatego kilka par koni, kilkanaście wieprzów i sporo innych stworzeń domowego gospodarstwa — prawdziwe delicye dla łaknącego wilka ! Niejednokrotnie próbowały też wilki podkopywać się

pod stajnie, lecz zabiegi ich spełzały na niczem, podłoga bowiem stajen była wyłożoną dylami — a kończyło się na przestrachu bydła, niemniej parobków i pastuchów, którzy zapuściwszy głowy tem głębiej w słomę, udawali smaczny, twardy sen, i dopiero zwykle rano opowiadali o spostrzeżonych zaburzeniach wśród mieszkańców stajen. Razu pewnego wyszedł pamiętam, fatalnie na swej nieprzezorności wieprz w karmniku. Na odgłos dobierającego się do karmnika gościa przyłożył wieprz ryjak do małego otworu wygryzionego w ścianie chlewka, i począł sapać z oburzenia. Widok pulchnego przysmaczku podniecił apetyt wilka. Chwycić potężnemi kłami ryjak i odgryźć go wieprzowi było dziełem jednej chwili. Nazajutrz rano litował się pierwszy pastuch nad biednym wieprzem, pozbawionym pięknej swej ozdoby. Trzymaliśmy wprawdzie w domu kilka sfór psów myśliwskich, które spuszczano noc dla pilnowania obejścia, lecz te nie miały odwagi stawać do pojedynku z wilkami i uważały za stosowne raczej znikać z widnokręgu. Wśród ciemnej nocy zimowej i silnej zawieruchy usłysano w kuchni skomlenje psa, na ganku gwałtowne odgryzanie się i drapanie do drzwi wchodowych. Ktoś z domowników wyszedł z latarnią i ujrzał na ganku wilka, zabierającego się do naszego gończaka. Ponieważ ogar był duży i silny, a akcya rozgrywała się na ganku w pobliżu ludzi, nie miał wilk odwagi rzucić się na swą zdobycz, lecz przybliżał się do niej zwolna. Widząc światło i sukurs uznał za stosowne wycofać się z honorem z niewygodnej sytuacyi, pobiegł więc kłusem przez podwórze i przeskoczył przez bramę na drogę.

Zabawny wypadek zdarzył się w jednej z chat chłopskich. Na odgłos krzyczących w sieniach gęsi wypadła baba z łuczywem, którem ongiś oświetlano chaty, dla zbadania terenu i ujrzała wilka. Wlazł on, pchnąwszy sw ym pyskiem niezamknięte drzwi, do sieni, a gdy drzwi same za nim się zawarły, nie mógł wydostać się z matni. — Przezorny zwierz stał pod wpływem strachu spokojnie i — udawał niewinnego. Na krzyk baby wyszedł do sieni mąż jej z dwoma dorosłymi synami — i zawyrokował śmierć intruza. Lecz jak go to zgładzić. Palnej broni nie mają, nożem atakować trochę niebespiecznie; niema innej rady jak ubić wilka cepami. I tu atoli nowa nastręcza się trudność, w sieniach niema miejsca do rozmachnięcia się cepem. Rada w radę uchwalono iż dwaj parobczaki

staną na dworze po obu stronach drzwi z podniesionemi cepami, baba stanie w pewnej odległości przed drzwiami i wywijając rydlem będzie tamować drogę wilkowi a „stary“ wypędzi wilka z chaty. Z chwilą gdy wilk wyjdzie za próg, i zatrzyma się na widok wymachującej rydlem baby, wytną go z całej siły parobcy cepami po grzbiecie — złamią krzyże, dobiją — ot i zdobycz wilczury gotowa!

Mądrzejszym atoli od mózgu tych domorosłych myśliwych był mózg wilka. Dopokąd wilk był w obrębie sieci dał się spokojnie i zwolna popychać — ujrzawszy się jednak u progu chaty jednym gwałtownym susem zniknął w ciemności. — Parobcy wycięli cepami po gołej ziemi — a baba „zczezła“ im z przed oczu.

— Gwałtu! wilk porwał mamunię! — zaczęli lamentować chłopi nie bacząc wśród ciemnicy w zamięszaniu i strachu. że matka leży obok nich w odległości kilku kroków omdlała z przerażenia na ziemi. — Czy sam widok wyskakującego wilka przeraził tak babę, czy też wilk potrącił ją i przewrócił — sama baba wyjaśnić nie umiała, dość, że i wilczura przepadła i „mamunia“ grzała się potem trzy dni na przypiecku.

Aby tępić takich szkodników jak wilki urządzano nie tylko zwykłe polowania, ale i wielkie obławy, w których na rozkaz władzy rządowej musiał brać udział każdy, mający palną broń w domu.

Przez dłuższy czas dzierżawiła polowanie w lesie bileckim i w kilku górskich rewirach spółka ziemian, na której czele stał ceniony ogólnie obywatel, przyrodnik i autor Kazimierz hr. Wodzicki z Olejowa. W skład spółki tej wchodzili między innymi Leszek hr. Borkowski, Aleksander hr. Dzieduszycki, Lopold hr. Starzyński, Aleksander Szczepański, hr. Tarnowski, słynny z humoru i dowcipów. Stefan Ociosalski it.p. Dwa razy do roku zjeżdżała na miejsce drużyna myśliwska z własną kuchnią, służbą, zaprzęgami, a co główna z różnorodną psiarnią, której skomlenie i wycie odbijało się echem po leśnych obszarach. Łowy trwały po dwa tygodnie, a zdobycz była obfitą. — Pomiedzy trofeami myśliwskiemi, leżały obok zajęcy, lisów, rogaczów, odyńców, także wilki. Wodzicki polował zwykle z konia, wybornie ułożonego ad hoc wierzchowca, dźwigającego różnorodny myliwski rynsztunek. Jakże pysznił się rumak gdy w takiej ozdobie biegł luzem obok zaprzęgu swego

pana, powracającego z Bilcza przez Lwów do Olejowa. Przechodnie stawali po ulicach i przypatrywali się kawalkadzie zaprzęgów z psiarnią i dziczyzną, paupry ścigali wierszchowca a ten galopując i wierzgając swobodnie utrzymywał gawiedź w należytem oddaleniu od siebie i dźwiganych przyborów.

Wrazie obławy na wilki był zwyczaj wystawiania zastrzelonych okazów na widok publiczny na podwórzu naszego domu, a żądni wrażeń chłopi, zwłaszcza zaś baby i dzieci przyglądali się tłumnie ubezwładnionym szkodnikom I oto wtedy obudzała się u nich chęć zemsty za doznane krzywdy, obrzucali kamieniami, kopali, bili leżące na ziemi wilki nawołując: »a to za moją gęś«, »a to za mego wieprzaka«, »a to za moje ciele«, i t. p. — tak iż ojciec był zniewolony stawiać straż z gajowych iżby nie psuto cennego futra.

---

**Jadwisia Prus III.**

# Kura sędzią kotów.

Krotofilną opowieścią muszę podzielić się z młodymi czytelnikami dzienniczka. W skład domu naszego przy ulicy Lenartowicza we Lwowie wchodzi bura koteczka, zwana dla swej sierści „Zajęczychą“ — pieszczocha nad pieszczochami — karmiona łakociami, spoczywająca na miękkich podściółkach i pomrukująca z zadowoleniem, ilekroć razy głaszczemy ją lub łechcemy po za uszkami. Towarzyszem rozrywek, przyjacielem „Zajęczychy“ jest najbliższy sąsiad jej, imci pan „Maciek“ o białej barwie mięszanej z popielatą, który jakkolwiek pozbawiony kociej ozdoby tj. ogona, a tem samem szpetny dla ludzi, cieszy się wielkiemi względami u naszej, mniej wybrednej koteczki. Para ta żyje w miłej zawsze zgodzie jak na dobrze wychowane sąsiedztwo przystało.

Od kilku tygodni zaczął atoli zatruwać temu stądłu, a zwłaszcza zaś Maćkowi, miły spokój jakiś czarny intruz z dalszych domów komplieksu, który w rozmaitych porach dnia i nocy zakradał się na nasze podwórze z niedwóznacznym zamiarem kokietowania pani „Zajęczychy“. Na to nie mógł się naturalnie patrzeć obojętnie Maciek, krew grała żywiej w ko-

ach jego żyłach, urządził więc zasadzkę na rywala, a ujrzawszy go w porannej godzinie na swem terytoryum, rzucił się na niego i z całą siłą potężnej zazdrości wpił swe pazury w przeciwnika. Ale i ten ostatni to kot nie ułomek, i on ma pazórki i szpiczaste zęby, toż w jednej chwili zażarta zawrzała na podwórzu walka. Łomot, pisk, wrzask i parskanie zaciętych szermierzy, tażających się po ziemi wywabiły do okien lokatorów domu, którzy nie bez przerażenia patrzyli się jak wśród zażartego pojedynku wyrywali sobie przeciwnicy sierść kłębami i krwawili skórę. Zanim atoli zdołali mieszkancy wdać się w tę sprawę i rozbroić śmiertelnych wrogów, nowy a oryginalny przedstawił się oczom ich widok. Oto spacerująca po podwórzu kura wpadła zirytowana na walczących i niepomna niebezpieczeństwa poczęła z całej siły dziobać ich po głowach. „A urwisze, a łobuzy“ — jęła się przemawiać swym kurzym językiem — „bijecie się, drapiecie, wyrywacie sobie włosy i krwawicie skórę; dam ja wam tutaj nicponie... a dalejże idźcie łapać myszy i szczury, których nie brak tu we Lwowie, a nie traćcie swych sił i zręczności w bratobójczej walce!...“

Czy nie czuły, czy nie rozumiały, czy nie chciały rozumieć tej interwencyi koty, trudno nam wyjaśnić, dość że pozostały głuche na sąd kurzy i dopiero wkroczenie silniejszego czynnika, jakim była pani dozorczyni domu, uzbrojona w miotłę, położyło kres dalszemu krwi rozlewowi. Kura jednak nie uznaje zasług ani dozorczyni, ani miotły, lecz przeświadczona w głębi duszy, iż to jej pośrednictwo rozbroiło wrogów, z tem większą powagą kroczy po podwórzu i każe się z dumą zwać odtąd „panią Sędziną“.

